

Adam Wiaryga Minieski.

# Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

2 Pomimo przedpołudniowej pory nie brakowało gości w wielkiej kawiarni narożnej, zwłaszcza stoliki ustawione na ulicy gęsto były obsadzone.

Widniały przeważnie mundury wojskowe, mężczyzn w ubraniach cywilnych było w kawiarni mało, kobiet jeszcze mniej, zaledwie kilka.

Tuż przy żelaznej balustradzie siedziała w towarzystwie dwóch oficerów tego, bardzo ładna brunetka w czarnej sukni, uwydatniającej doskonale jej pełne, ponętne zarysowane kształty.

Ponsowemi różami zdobny kapeluszyk z dużym rondem ocieńcał malowniczo twarz okrągłą, trochę zaszeroką, o gorącym kolorystyce.

Było w tej twarzy coś, co nasuwało myśl o odaliskach wschodu, odurzających w swej gorącej zmysłowości, a biernych i leniwych.

Skrzyżowały się spojrzenia nadchodzącego z Witowtówną Ludwika Rażyckiego i pięknej pani.

Rozbłyły czarne, palące źrenice kobiety, zaśkrzyły się oczy mężczyzny.

Pani Ada!

— Jakto pan w Krakowie? — zawołała pani Ada, swobodnie wyciągając do Ludwika rękę po przez żelazne sztachety ogrodzenia. — Miałam jakieś przecucie, właśnie wczoraj pytałam o pana, ale nie powiedziano mi nic o tem, że pan przyjechał... I na długo?

— Nie wiem, dopóki się to nie wygoi! — odpowiedział, wskazując na zwieszoną na temblaku rękę.

— Ah! Prawda! Pan ranny i dlatego pan lewą rękę podaje! — zaśmiała się dzwicznie, srebrzyście pani Ada — Dopiero teraz zauważyłam... ja taka zawsze jestem roztargniona. Ale pan się nie gniewa o tę nieuwagę, prawda?... No, to doskonale, że pan dłużej zostaje w Krakowie, będziemy się często widywali, zgoda?

— Jeżeli pani tylko pozwoli.

Młodszy z oficerów towarzyszących pani Adzie zachmurzył się i niechętnie spojrzenie rzucił na Rażyckiego, przeczuwając w nim rywala. Starszy uśmiechnął się z jakąś ironiczną pobłażliwością.

— Więc dowidzenia, do prędkiego widzenia.

— Dowidzenia.

Uścisk dłoni, trochę może za długi, za gorący na zwykłe konwencyonalne towarzyskie pożegnanie.

Rażycki minął kawiarnię i poszedł dalej. Witowtówna, której powieki zatrzepotały się nagle i jakoś dziwnie ciężko opadły na oczy, skurczyła się, przygarbiła jeszcze więcej, jakby zmalala, ale z ust jej nie zniknął uśmiech, który zdawało się, że przyswarł do nich na zawsze.

— Pani Warewiczowa ślicznie wygląda, prawda? — zapytała.

— Istotnie! — potwierdził żywo Ludwik, który uczuwał wielką ochotę do mówienia o pani Adzie — Ona posiada chyba jakiś tajemniczy eliksir młodości i piękności. Odkąd ją pamiętam, a pamiętam już sporo lat, byłem jeszcze studentem gimnazjalnym, kiedy ona była młodszą dziewczynką, wyglądała zawsze równie młodo, świeżo i uroczo...

— Nie taki to znów bardzo tajemniczy ten eliksir. Żyje w dostatku, bawi się, stroi, pielęgnuje, nic nie robi, to i dlatego ma się starzeć lub brzydnąć. No, taką już ma szczęśliwą naturę, że umie sobie radzić z troskami. Ot! I teraz pewnie martwi się o męża, który jest w polu i czy znać to na niej?... Ani trochę. Zawsze uśmiechnięta, ładnie ubrana, rano w kawiarni, popołudniu w kawiarni... wieczorem w teatrze lub na koncercie i znowu w kawiarni...

— To Warewicz przy wojsku i w polu?

Teraz dopiero przypomniał sobie, że istnieje przecież mąż pani Ady, ten szary, nic nie znaczący, mało mówny człowiek, który przez cały dzień zajęty był pracą, a wieczorem, kiedy żona wychodziła do teatru lub do kawiarni, bawił się z dzieckiem, a potem szedł wcześniej spać, boć już o ósmej godzinie musiał być na swoim stanowisku...

Ot! Zwykły wół roboczy, którym się nikt ze znajomych pani Ady bliżej nie interesował, nikt się z nim nie liczył, a najmniej własna żona.

— Tak jest, od sześciu miesięcy pani Warewiczowa jest siołnianą wdową. Ktoby się tego domyślił?... Łzy tęsknoty za mężem bynajmniej nie psują świeżości jej cery. Tak samo z dzieckiem. Ile to inne matki nakłopotają się, najęczą, a u niej ani

ślądu tego. Dziecko się chowa i dobrze. Matka so bie... dziecko sobie... no i wszystko w porządku...

Ludwik zmarszczył brwi, bo chociaż Kornelia mówiła ze zwykłym swoim wesołym, uprzejmym uśmiechem, zrozumiał ironię, zawartą w jej słowach, a która tem więcej go gniewała, że w głębi ducha uznawał słuszność tej krytyki.

Ale on nie miał ochoty w tej chwili zastanawiać się nad moralną wartością pani Ady, nie zamierzał zgłębiać jej pedagogicznych i rodzinnych zalet.

Czuł tylko, że krew zaczyna w nim wrzeć na wspomnienie długiego uścisku, ciepłej i miękkiej ręki.

— Widzę, że pani się staje ironiczną i złośliwą — rzucił szorstko — zapomina pani, że kobietom pięknym wybacza się wiele, mają one swoją specjalną psychologię.

— Której ja nie rozumiem — podchwyciła żywo Kornelia z taką zadowoloną miną, jak gdyby najprzyjemniejszy usłyszała komplement — naturalnie, jakżebym ja rozumieć mogła... Skądże ja wiedzieć mogę, co się pięknym kobietom wybacza, a czego się nie wybacza. Wiem tylko, że brzydkim nie wybacza się złościwości nigdy, dlatego też niech mnie pan o nią nie posądza! Jeszcze by mi tylko złościwości brakło do garnituru, a mogłabym figurować w jakiej komedii jako „brzydka intrygantka — czarny charakter“. Nawiasem mówiąc, takie tylko role dawano mi zawsze w teatrach amatorskich i odgrywałam je pono ku wielkiej ucieście widzów, chociaż w życiu talentu do intryg nie miałam nigdy... Ale co tam o tem... mówmy o czemś innym, co pana więcej zainteresuje. Zauważyłam, że pani Warewiczowa bardzo się ucieszyła pańskim przyjazdem.

Ludwik poczerwieniał, ale rozchmurzył się odrazu. — Pożałował nawet szorstkiego tonu, jakim przemówił poprzednio do Kornelii. Przecież to rzeczywiście dobra dziewczyna.

— Zdaje się pani tylko. Ona ma tylu znajomych... adoratorów... Ten na przykład porucznik, który z nią siedział w kawiarni, zakochany szalenie, z oczu mu to patrzy.

— Tak, bez wątpienia... taka ładna, urocza kobieta... nic dziwnego zresztą. Ja jednak odniosłam wrażenie, że pan zajmuje ją więcej, niż ta cała zgraja różnorodnych wielbicieli.

Rażycki uśmiechnął się. Nie! Ta Kornelia jest stanowczo sympatyczna!

A ona patrzyła mu w oczy ciągle, jednakowo się uśmiechając, z jakimś pokornym oddaniem, pytając go spojrzeniem, czy już zadowolony, czy się na nią nie gniewa.

Osiągnęła swój cel, wygładziła zmarszczkę niezadowolnienia na jego czole.

Chciała mówić jeszcze, powiedzieć mu znowu coś pochlebnego, miłego, przyjemnego, ale Rażycki uprzedził ją wołając:

— Rynek! Doprawdy Rynek, nasz krakowski Rynek!

Przystanął, zapomniał zarówno o swojej brzydkiej towarzysze, jak i o pięknej pani Adzie.

Patrzył i chłonał w siebie, w oczy i w duszę to piękno zaklęte w podniebnym pędzie smukłych wież kościelnych, w harmonijnych, łagodnych liniach Sukiennic, w tej przedziwnie uroczej całości Rynku krakowskiego, który niema równego sobie, a takie wywiera wrażenie, jak wizja z lat dawnych, rycerskich, jak strofa pieśni o dawnej sławie, o minionej chwale, rzucona w banalny zgiełk uliczny nowożytnego miasta, pomiędzy turkot pojazdów, dzwonki tramwajów, sapanie samochodów.

Ludwik, dziecko Krakowa, Rynek ten oddawna znał i kochał, tęsknił do niego nieraz tam w okopach, dzisiaj jednak po raz pierwszy przemówił on do niego mową wieków, stawiał mu przed oczyma te wszystkie postacie, o których pieśń dotąd gwarzy...

Z cichego zachwycenia wyrwał go piskliwy głos kobiecej:

— Psiakość pierońska! Czego się panna pchasz naprzód! Czekaj panna swojej kole! Panie starszy, ta panna myśli, że jak se grzywkę zakręciła i głowę upudrowała, to już wszędzie musi być pierwsza... Ja mam w domu dzieci sześciu, ja nie mogę czekać. A pan tu od tego jesteś, żebyś porządku pilnował!

Rażycki spojrzał. Wzdłuż ulicy ciągnął się sznur ludzi ustawionych w pary, koło tego tłumu przesuwali się policyjanci tam i z powrotem.

— Wypadek chyba jakiś — rzekł Ludwik — bo cóżby to zbiegowisko znaczyć miało?

— To żaden wypadek — to konieczność chroniczna. W gwarze krakowskiej nazywa się to ustawiać się „w ogonek“.

— A to w jakim celu?

— Po to, żeby dostać cukru, maki, kawy, chleba i t. p. rzeczy. To jedno z urozmaiceń wojennych cywilnego życia poza frontem i bodaj jeszcze nie najgorsze. Wkrótce dowie się pan o innych.

— O czem, czy o kim ma się pan Ludwik dowiedzieć? — zabrzmiał przy nich dzwiczny głos kobiecy — Dzień dobry państwu. Oto jestem! Nie spodziewał się pan mnie tak prędko zobaczyć, prawda?

Oblana blaskami słońca stała pani Ada z wianką róż ponsowych w ręku, sama podobna do południa słonecznego i róży pysznie rozkwitłej.

— Niespodzianka, co?

— Urocza, cudowna niespodzianka...

— Odprawiłam porucznika i kapitana i pobiegłam za panem, bo zdjęła mnie szalona ochota porozmawiać z panem. Wie pan, z nikim nie gawędzi się tak miło. Ale róże to dla pana na powitanie.

Ludwik wziął róże i gorące wargi jego przyswarły w podzięcie do białej, wypieszczonej ręki pani Ady.

— Chociaż właściwie, to pan nie zasłużył na tyle dobroci. O! Bo ja mam z panem na pieńku... Przez cały czas nie napisał pan ani słowa!

— Gdyby pani wiedziała, jak to trudno w polu...

— Tylko proszę nie kłamać, nie wykręcać się, bo nic a nic panu nie wierzę. Już ja pana znam... Zuchwale spojrzał jej w oczy.

— I ja panią... trochę.

— Znamy się nawzajem... *Voilà*, w tem cały urok. Ale pan się zmienił... zmierzniał trochę, ogorzał, zmęźniał jakoś. Do twarzą panu z tem... wygląda pan bardziej interesująco... No, żołnierzowi w tych czasach wojennych dużo się wybacza, ale w każdym razie zawinił pan i kara minąć nie może.

— Pani Ado, przez litość, niechże kara nie będzie zbyt sroga. Sama pani wspomniała o pobłażliwości dla żołnierza, a wszak wracam z frontu.

— No, zobaczmy, wezmę pod uwagę okoliczności łagodzące, a teraz może wstąpimy do cukierni na lody. Straszny dzisiaj upał, a ja jestem taka zmęczona... taka zmęczona...

Kornelia zrozumiała, że w tej chwili niema dla niej miejsca przy tych dwojgu, że powinna odejść. Przywykła już do tego, by się usuwać, cicho, szybko, pokornie, niepostrzeżenie, skoro poczuła, że jest zbędna.

I teraz odeszła, rzuciwszy krótkie: do widzenia, na które nie otrzymała nawet odpowiedzi.

## ROZDZIAŁ II.

Rażycki wszedł do restauracji. Owionęła go duszna atmosfera, przesycona oparami piwa, wyiewami alkoholu, dymem cygar i papierosów, z wonią mięs smażonych, zapachem ostrych przekąsek. Pełno było. Pierwsza sala, w której znajdował się bufet, była tak zadymiona, że postacie gości i kelnerów owiane były jakimś obłokiem niebieskawym.

Rażyckiemu, który odwykł podczas służby na froncie od dusznego powietrza restauracji i handlowców, zabrakło w pierwszej chwili oddechu w płucach.

— Bombka raz!

— Dwie bomby!

— Wieprzowa z kapustą!

— Gulasz barani!

Kelnerzy i ich pomocnicy, dorastający chłopcy, zwijali się, jak w ukropie.

Jak dawniej! Z tą tylko różnicą, że silniej natłoczone były sale restauracyjne, większy ścisk panował przy zastawionym przekąskami bufecie. Skromna liczba ubrań cywilnych mieszała się z tłumem mundurów wojskowych.

Wojna też wprowadziła do tych sal nieznaną tutaj dawniej różnorodność. Dominowała wprawdzie rozmowa polska, ale nie rzadko rozbrzmiewał także język niemiecki, a tu i ówdzie dolatywały słowa czeskie, węgierskie, chorwackie.

— No, jakże dyrektor myślisz, napijemy się jeszcze po „bombce“, czy nie?... Bo to już doprawdy ten „pilzner“ taki drogi, że grzech po prostu pić!

— E... co tam, profesorze — odparł dyrektor, odznaczający się typową tuszą i obrzękłą czerwoną twarzą „piwosza“. Są pieniądze, niema pieniędzy, wszystko jedno, a tymczasem pijmy, dopóki „pilzner“ jest, bo może go zabraknąć... Słyszałem, że produkcja piwa ma być ograniczona...

— W takim razie napijmy się jeszcze! Ale co dyrektor mówisz, będzie ograniczenie produkcji piwa?... Czego to już wkońcu nie ograniczą?...

— Albo ja wiem czego! Może będziemy musieli w przyszłości, tak, jak żydzi chassydzi, w szabas liczyć odmierzane kroki i... to na karty!